

# Fritz Kohlase

---

## Na linii Krzyż – Gorzów Wielkopolski – Kostrzyn : relacje żołnierzy niemieckich z walk niemiecko-radzieckich w roku 1945

---

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 17, 327-348

---

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

**Na linii Krzyż – Gorzów Wielkopolski – Kostrzyn.  
Relacje żołnierzy niemieckich z walk niemiecko-radzieckich  
w roku 1945 – opracował Fritz Kohlase\***

Rudolf Schröter (1995)

**Moje przeżycia pod koniec stycznia i na początku lutego 1945 r.  
w Gorzowie Wlkp., w dywizji „Woldenberg”  
oraz przy wycofywaniu się jej pozostałości do Kostrzyna**

W 1942 r. zostałem ciężko ranny podczas akcji w lasach wokół Woroneża, na wschód od Donu, i straciłem prawą dłoń<sup>1</sup>.

W styczniu 1945 roku byłem jako porucznik szefem kompanii w batalionie zapasowym i szkoleniowym piechoty. Dowódcą batalionu był major Schellack. Miejscem stacjonowania – koszary im. generała Strantza we wschodniobrandenburskim Landsbergu nad Wartą (Gorzowie).

Pod koniec stycznia nagle zarządzono alarm. W wielkim pośpiechu udało mi się odesłać żonę i małego synka, którzy byli u mnie z wizytą, ciężarówką odjeżdżającą na zachód.

Następnie otrzymałem rozkaz utworzenia linii obrony przed Rosjanami na wschód od Gorzowa. Mój odcinek zaczynał się na szosie (Reichsstraße) nr 1 przy gospodarstwie doświadczalnym „Oldenburg” (włącznie) i kończył przed położonym ok. 1,5 do 2 km na południe Wawrowem (Lorenzdorf). Na lewej flance, w kierunku szpitala psychiatrycznego, mieliśmy jednostkę podporucznika Clemensa, będącego w podobnej jak ja sytuacji; po prawej stronie stanowiska zajęła jednostka węgierska.

Miałem do dyspozycji około 400 rekrutów, z których część nie była jeszcze nawet zaprzysiężona, tzn. młodych chłopców, którzy przeszli jedynie przeszkolenie

---

\* Poniżej zamieszczone materiały pochodzą z książki opracowanej przez Fritza Kohlase pt. *1945 Als Küstrin in Trümmer sank. Ich war dabei. Betrachtungen, Berichte und Briefe*, wyd. II, Sehnde 2006. Ścisłe wiąże się z nimi artykuł *Wyrok sądu wojennego na gen. Gerharda Keglera*, który na podstawie wydania pierwszego tej książki z roku 1996 opublikowaliśmy w NRHA 2005 nr 12, s. 155-172. Materiały te poszerzają obraz walk w okolicach Gorzowa i Kostrzyna w roku 1945. Redakcja dziękuje Panu Fritzowi Kohlase za zgodę na nieodpłatny przedruk poniższych fragmentów, dzięki którym z problematyką będą mogli zapoznać się polscy czytelnicy. Tłumaczenie tekstów Grzegorz Kowalski (red.).

1 Niniejsze sprawozdanie łączy się tematycznie z następującymi tekstami znajdującymi się w publikacji, z której pochodzi niniejszy fragment: *Sprawa generała brygady Keglera* (zob. dalej). *Wyrok sądu wojennego na gen. Gerharda Keglera* (zob. NRHA 2005 nr 12, s. 155-172) i *Od Krzyża do Kostrzyna* (zob. dalej).

wojskowe w Hitlerjugend, ale poza tym dopiero zaczynali służbę skoszarowaną. Sierżantów i podoficerów, którzy dowodziliby mniejszymi jednostkami, nie było w ogóle. Funkcje te otrzymali rekruci, którzy na podstawie swej wiedzy wojskowej i zachowania wydawali się najbardziej nadawać do tej roli. Nie miałem żadnych informacji o tym, komu podlegam ani gdzie znajduje się wróg.

Temperatura 28 stycznia: minus 15 stopni Celsjusza przy grubej, zamrożonej warstwie śniegu. Sytuacja: Na Reichsstraße 1 wzmożony ruch do tyłu, piechotą i zmotoryzowany. Pozycja wroga: spokojna, nieznaną i niepewną. Zgodnie z wypowiedziami uciekinierów, Rosjanie byli tuż za nimi. Należało się cały czas liczyć z atakami jednostek awangardy. Sytuacja na miejscu: Prowizorycznie obsadzenie punktu obrony w gospodarstwie i wokół niego, jednak brak piechoty z przodu. Za to na przedpolu znajdowały się dwa sprzężone działa przeciwlotnicze wraz z obsługą, a także dwa „hetzery”<sup>2</sup>.

Jeszcze tego samego popołudnia 28 stycznia, zaprzysięgłem pod osłoną budynków gospodarskich nie zaprzysiężonych dotąd rekrutów.

Przed południem 29 stycznia zameldował się u mnie oberscharführer Waffen-SS z dwoma „królewskimi tygrysami”<sup>3</sup>, ciężkimi ciągnikami, cysterną i samochodem-amfibią, oraz niezłym uzbrojeniem. W czasie wycofywania się zaledwie 500 metrów od mojej pozycji stracił trzeciego „tygrysa” w wyniku awarii silnika. Do ratowania go musiałem wysłać kilku moich chłopców, bo Rosjanie dochodzili już do Wawrowa. Udało się to, dzięki czemu moja piechota usłyszała wielkie pochwały od pancerniaków. W związku z tak dobrą współpracą oberscharführer oddał się wraz ze swoimi pojazdami pod moją komendę.

Pojazdy pojechały zatankować do Gorzowa, a następnie ciągniki przesunęły nasze działko przeciwlotnicze na tyły naszego odcinka, gdzie było lepiej osłonięte i miało lepszą pozycję strzelniczą; podobnie zrobiliśmy z obydwojma „hetzerami” i działkiem 8,8 cm na lawecie, które wypatrzyłem w kolumnie uciekinierów i podporządkowałem sobie.

Cały ciężki sprzęt znalazł się więc w bezpiecznym położeniu i miał możliwość ostrzeliwania głębi pozycji wroga zarówno w obrębie naszej pozycji, jak i na naszych flankach. W tym momencie moja jednostka spokojnie, w gotowości i pełna zaufania oczekiwała na atak przeciwnika.

Po południu 30 stycznia Rosjanie zaatakowali Wawrów i zajęli go<sup>4</sup>. Węgrzy, nie przejmując się nami, swoją lewą flanką, wycofali się w nieuporządkowany sposób i na dobre na zachód. Ogień naszych ciężkich dział skierowany na flankę przeciwnika zatrzymał jego ruch naprzód. Następnie szturmem rezerw i jednym z „tygrysów” zmusiliśmy go do wycofania się i opuszczenia Wawrowa. Udało się przy tym uwolnić tymczasowo wziętego do niewoli rekruta mojej kompanii.

2 „Hetzer” – Jagdpanzer 38 (t), czyli samobieżne działko pancerne.

3 „Królewski tygrys” to określenie najlepszego niemieckiego czołgu, który udało się Niemcom zastosować w II wojnie światowej. Ciężar 69,7 ton, działko 8,8 cm, 43 K/72.

4 Dane na temat daty zajęcia Gorzowa przez Armię Czerwoną są różne. Początkowo również polskie opracowania podawały 31 stycznia, jednak zmieniły później tę datę na 30 stycznia 1945 r. Więcej na ten temat patrz: „Sprawa generała brygady Keglera”, przypis 8.

Wciąż jeszcze nie wiedziałem, jakiej jednostce podlegam i kto jest jej dowódcą. Od chwili otrzymania rozkazów w koszarach nie otrzymałem żadnych innych rozkazów. Nie miałem żadnej łączności z jakimkolwiek sztabem. Nie pojawił się u mnie żaden oficer ani łącznik. Wiedziałem tylko, że Rosjanie atakowali i że na odcinku 3 km w kierunku Warty miałem po ucieczce Węgrów otwarte, niechronione skrzydło, które stanie się celem ponownego natarcia Rosjan.

Ocena tej sytuacji wskazywała, że zostaliśmy otoczeni przez wroga, zapomniani i na straconej pozycji.

Ponieważ należało przypuszczać, że komendant Gorzowa opuścił miasto w panice, a sowiecka piechota wkroczy do miasta, omijając nas, zdecydowałem się po rozmowie z dowódcą po mojej lewej stronie oraz z oberscharführerem SS na odwrót. Aby nie narażać życia i siły bojowej niewyszkolonych rekrutów, należało oszczędzić im ewentualnej nocnej walki w mieście i ominąć je od północy. Udało nam się to bez nawiązywania kontaktu z wrogiem, nocą, w głębokim śniegu po leśnych i polnych drogach. Również jednostka Clemensa wycofała się ze swojej pozycji, poruszając się po tych samych drogach. Ciężkie jednostki, przede wszystkim niezdolny do jazdy „tygrys” oraz ciężkie ciągniki, mogły poruszać się wyłącznie po drogach utwardzonych, a więc jedynie przez Gorzów, w razie potrzeby także w ogniu walk. W związku z tym uwolniłem także SS, „hetzera” i działo przeciwlotnicze spod mojej komendy i uzgodniłem z nimi miejsce spotkania następnego dnia między Gorzowem a Witnicą<sup>5</sup>.

Rankiem 31 stycznia moja jednostka znajdowała się ok. 4 km na zachód od Gorzowa, w obszarze Wieprzyc, znów razem z oberscharführerem SS oraz „królewskimi tygrysami”. Ponieważ nadal nie mieliśmy przypisanego dowództwa, a ja nie miałem żadnych rozkazów, zdecydowałem o kontynuowaniu odwrotu w kierunku zachodnim.

Za Bogdańcem trafiłem na samochód osobowy z generałem. Przyjął mój meldunek, lecz nie przedstawił się ani nie podał swojej jednostki. Rozkazał mi zająć pozycję po lewej stronie drogi za Dzieduszycami. Znów na lewej flance miałem jednostkę porucznika Clemensa.

Kiedy ogniem piechoty zatrzymaliśmy rosyjski opancerzony pojazd rozpoznawczy, żołnierze wyskakiwali z niego z narzuconymi na plecy kocami, które miały ich chronić przed naszymi pociskami<sup>6</sup>. W nocy miało miejsce pierwsze natarcie Rosjan, kolejne 2 i 3 lutego. Mniejsze ataki były odpierane przez wzorowo walczących rekrutów.

5 Zob. Fiodor Jefimowicz Bokow, *Frühjahr des Sieges und der Befreiung*, Berlin (Ost) 1979, s. 83-84. Zgodnie z zawartymi tam informacjami 30 stycznia fiaskiem i utratą sześciu dział samojezdnych zakończyła się próba oddziału 5. Armii Uderzeniowej wzięcia Gorzowa z marszu, w związku z czym otoczył on miasto od północy, podążył dalej na zachód, w kierunku Wysokiej, Dębna i Odry; 31 stycznia zdobył przyczółek w Kienitz i po południu zaatakował częścią swoich sił kostrzyńskie Nowe Miasto. Kolejne oddziały sowieckie w nocy z 30 na 31 stycznia rozpoczęły zajmowanie Gorzowa.

6 Koce rosyjskich żołnierzy miały zmieniać trajektorię lotu lekkich pocisków piechoty, powodując rykoszet.

3 lutego zostałem wezwany do sztabu dywizji w witnickim ratuszu w celu omówienia sytuacji. Tutaj po raz pierwszy dowiedziałem się, że moja jednostka jest częścią dywizji „Woldenberg”.

Dowódca dywizji, generał brygady Kegler, tak opisał sytuację: „Dywizja otoczona przez piechotę rosyjską słabej jakości. Dworzec w Witnicy na południowo-wschodnich peryferiach miasta zajęty przez wroga. Mościce zajęte przez Rosjan. W rejonie Kamienia Wielkiego dwa wrogie pułki piechoty. Połączenie z Kostrzynem zerwane. Zaopatrzenie możliwe jedynie drogą powietrzną”. Jego decyzja: odwrót.

Rozkaz wydany w tej formie przez oficera sztabu dywizji był nie do wykonania dla mojej jednostki i jednostki porucznika Clemensa oraz spowodowałby ciężkie straty. Dlatego zgłosiłem sprzeciw i zaproponowałem, by oderwać się od wroga dopiero po przeprowadzonym przez niego ataku, ponieważ nasze mniej zwrotne, ciężkie pojazdy, a przede wszystkim piechota tylko w ten sposób miałyby jakieś szanse wycofania się w trudnym terenie i głębokim śniegu.

Kiedy generał oświadczył wobec oficera sztabu, że zgadza się z tą opinią, otrzymaliśmy drogą radiową z Głównego Dowództwa 9 Armii następujący rozkaz: „Meldować sytuację i zamiary. Utrzymać Witnicę”. Generał Kegler natychmiast wycofał rozkaz odwrotu dywizji.

Powróciwszy na swoją pozycję oraz po rozmowie z moim lewym sąsiadem, który tak jak ja obawiał się niepotrzebnych wysokich strat wśród naszych rekrutów, zdecydowałem się spróbować przekonać naszego dowódcę dywizji, by powrócił do rozkazu odwrotu, a także że ja będąc w każdym wypadku działał zgodnie z własnym sumieniem.

Wróciłem więc do Witnicy. Oficerowie sztabowi nie chcieli mnie wpuścić do generała. Sam generał Kegler był natomiast zdumiony, lecz otwarty na przedstawione mu argumenty:

– Nie można zmieniać raz wydanego rozkazu, żeby nie naruszać morale jednostki.

– Rozkaz z dowództwa brzmiący „Meldować sytuację i zamiary” pozostawia dywizji niezwykle duże możliwości decyzyjne. Gdyby było inaczej, brzmiałby zapewne: Meldować sytuację. Utrzymać Witnicę”. Ponieważ należy wychodzić z założenia, że armia w rozkazie radiowym prawidłowo stosuje język taktyczny i wyraźnie wzywa nas do „meldowania zamiarów”, to znaczy, że pozostawia nam możliwość podjęcia decyzji na podstawie własnej oceny sytuacji, a ta nakazuje nam „odwrót”. Zdarzały się już i w tej wojnie sytuacje, kiedy jednostki wbrew rozkazom, ale rozumiejąc beznadziejność swojej sytuacji, wycofywały się, dzięki czemu zachowywały morale, zaś dowodzący nimi oficerowie otrzymywali wysokie odznaczenia.

– Jednak decydującym argumentem, panie generale, jest własne sumienie. Odpowiedzialny oficer, kiedy widzi, że bezwzględne posłuszeństwo w beznadziejnej sytuacji będzie oznaczało jedynie bezsensowny rozlew krwi, powinien poświęcić sam siebie, aby oszczędzić tego swoim żołnierzom.

Argumenty te, szczególnie ostatni, wyraźnie poruszyły generała. Wyszedł na chwilę do drugiego pomieszczenia. Kiedy powrócił, był błady. Zapytał mnie, gdzie straciłem prawą rękę, pochwalił dyscyplinę i zaangażowanie moich chłopców, a także moje uwagi i ocenę sytuacji podczas narady przed kilkoma godzinami.

Potem miał miejsce następujący dialog:

– Czy sądzi Pan, że jest w stanie w tej sytuacji dokonać uporządkowanego wycofania dywizji?

– Tak, pod warunkiem, że mnie Pan w tym wesprze.

– W takim razie powołuję pana niniejszym do mojego wykonawczego szefa sztabu.

Natychmiast wysłałem wszystkich oficerów sztabowych do oddziałów, gdzie we współpracy z komendantami odcinków mieli zatrzymać cofające się jednostki i pojedynczych żołnierzy, aby włączyć je w obronę miejscowości.

Następnie wraz z jednym pododdziałem mojej piechoty oraz jednym z „tygrysów” przygotowałem odbicie dworca w Witnicy. W tym momencie łącznik przyniósł mi pismo od generała: „Złożyłem rezygnację z dowodzenia dywizją. Kegler, generał brygady.”

W związku z tym poprosiłem jakiegoś majora, aby z powodów prestiżowych przejął dywizję. Ten zgodził się jedynie pod warunkiem, że zachowam dowództwo taktyczne.

Odwrot dywizji został przygotowany, a wszyscy dowódcy wezwani na 15.00 do Witnicy w celu wysłuchania rozkazów.

Po ustabilizowaniu sytuacji w mieście pojechałem samochodem amfibią z oberscharführerem SS i jednym z moich rekrutów, aby na podstawie mapy generała Keglera ocenić pozycję wroga. Okazało się przy tym, że droga do Kostrzyna nie była zablokowana przez Rosjan. W Kamieniu Wielkim nie było Rosjan. Ruchy wroga zaobserwowano dopiero w Batzlow, miejscowości sąsiadującej w Witnicą od północy.

Nie zmieniłem swoich dyspozycji. Wysłaliśmy drogą radiową informację do twierdzy Kostrzyn, że dywizja rozpoczyna odwrót. Około 15.00 otrzymaliśmy rozkaz odwrotu, który odbył się bez nieprzewidzianych sytuacji.

Kiedy następnie jeszcze raz wyjechałem ocenić sytuację, natrafiliśmy już na pierwsze rozpoznawcze oddziały wroga.

W nocy z 3 na 4 lutego jako pierwszy z wycofującej się dywizji dotarłem główną szosą nr 1 do Kostrzyna. Niemieckie ubezpieczenie, obsługa osiemdziesiątki ósemki, zachowywała się tu, na granicy miasta, w sposób nieodpowiedzialny.

W komendanturze twierdzy zameldowałem się u oficera sztabu generalnego, majora Wittego. Kiedy zwróciłem mu uwagę na niewystarczające zabezpieczenie Reichsstraße 1 i zaproponowałem przejęcie jej przez moją nietkniętą piechotę, potraktował to jak bunt i wtrącanie się w cudze zadania: „Waszego generała przywitał już sąd wojenny, a was, bandę buntowników, czeka taki sam los”. Wobec tego oddałem resztki dywizji pod dowództwo oficera sztabu generalnego dowódcy twierdzy.

Ciężki sprzęt oraz chorzy żołnierze piechoty przeszli przez mosty nad Wartą i Odrą i zostali przydzieleni do poszczególnych jednostek zajmujących twierdzę Kostrzyn. W momencie wydawania rozkazów nadchodzącym częściom dywizji otrzymałem przez łącznika następujący rozkaz oficera sztabu głównodowodzącego twierdzy, majora Wittego: „Zostaje pan wraz z dywizją skierowany do Warników do odpierania rosyjskich ataków”.

Nie byłem w stanie wypełnić tego rozkazu, jednak w czasie walk ulicznych udało mi się powstrzymać Rosjan przed dalszym postępowaniem. Po kilku dniach odcinek ten przejął hauptsturmführer SS Macher, a ja zostałem jego adiutantem.

Wkrótce potem otrzymałem rozkaz udania się wraz z nocnym transportem mułków z Kostrzyna do Szkoły Sportów Motorowych w Wriezen. Tutaj zostałem ordynansem szefa sztabu 51. Korpusu Armii, pułkownika Dankego. Tak skończyła się moja krótka przygoda z dywizją „Woldenberg”.

\*\*\*

Fritz Kohlase (1995 i 2005)

### **Sprawa generała brygady Keglera. Garść nowych faktów po 50 latach**

W 1955 r. w zeszycie 4 czasopisma „Wehrwissenschaftliche Rundschau” („Naukowy Przegląd Wojskowy”) ukazał się artykuł pt. „Ostatnia bitwa 9. Armii”. Jego autorem był ostatni dowódca tej armii, generał piechoty w stanie spoczynku Theodor Busse. Na początek opisuje wydarzenia sowieckiej ofensywy ze stycznia 1945 r., w czasie której 9. Armia poniosła ciężką klęskę i została odrzucona od linii Wisły na Odrę. Wspominał przy tym o nieudanej obronie starej granicy Rzeczy z 1939 r. w obszarze Odry i Warty oraz Wału Pomorskiego. W tym kontekście wymienił też Gorzów Wielkopolski:

„W Gorzowie znajdowała się silna grupa bojowa pod dowództwem generała brygady Keglera, przeznaczona do obrony tej ważnej przeprawy nad Wartą. [...] Szczególnie brzemienne w skutki było to, że na północy całkowicie zawiódł komendant Gorzowa (generał brygady Kegler). Nie zważając na rozkazy, bez walki poddał most na Warcie i uciekł pociągiem do Kostrzyna. Tym samym otworzył rosyjskim czołgom drogę na północ od Warty do Kostrzyna, dzięki czemu mogły głęboko oskrzydlić pozycje sił niemieckich na Pomorzu i w dół Odry za Kostrzynem. Skutkiem tego wrogie szpice pancerne pojawiły się przed Nowym Miastem w Kostrzynie nad Odrą po jego północnej stronie, i to zanim udało się umocnić lub w ogóle zorganizować w tym miejscu obronę. Dalszym skutkiem było to, że wielu uciekinierów po północnej stronie Warty wpadło w ręce Rosjan. [...]

Koło Kostrzyna, w drugim ważnym punkcie obrony, sytuacja rozwijała się gorzej. W pierwszych dniach lutego Nowe Miasto po północnej stronie Warty zostało utracone, co było skutkiem nieudolności komendanta Gorzowa”.



W trzy miesiące później, w Zeszycie 7 tego samego czasopisma opublikowano dwa poniższe listy, które odnosiły się do wywodów Theodora Bussego. Napisał on:

„Odpowiedź.

Z całą mocą odpieram zarzuty podniesione wobec mojej osoby zawarte w artykule gen. piechoty w stanie spoczynku T. Busse pt. «Ostatnia bitwa 9. Armii», opublikowanym w zeszytu 4 «Wehrwissenschaftliche Rundschau». Oto co wydarzyło się wówczas, w największym skrócie:

30 stycznia 1945 r. otrzymałem od Himmlera rozkaz przejścia dywizji «Wolfsdenberg». Nie dostałem żadnych informacji o sytuacji ani o wyznaczonych mi zadaniach. Swojej dywizji musiałem poszukać i znalazłem ją w pozycji bojowej na wschód od Strzelec Krajeńskich. Nie było żadnego kontaktu z podporządkowanymi oddziałami, nie było także ubezpieczenia skrzydeł. Dowództwo przejąłem około południa, kiedy owa ledwie sklecona «dywizja» znajdowała się w niemal nieuporządkowanym odwrocie w kierunku na Gorzów. Kiedy rankiem 31 stycznia 1945 r., w Gorzowie zacząłem porządkować pozostałe jeszcze jednostki i wydawać im rozkazy, stwierdziłem, że «dywizja» nie ma żadnej broni przeciwpancernej, żadnych zapasów amunicji ani żywności, żadnego oddziału zwiadowczego. Nie posiadała także lekarza. Artyleria składała się z dwóch baterii z zaprzężonymi końmi. «Dywizja» nie była więc «silną grupą bojową». Oddział był niezdolny do walki. Ludność, 45.000 osób, znajdowała się w mieście; ewakuacja nie była przygotowana. Dowódca 9. Armii przekazał mi drogą pocztową rozkaz Himmler, że mam bronić Gorzowa jako twierdzy. Rosyjskie czołgi znajdowały się tego dnia już po północnej stronie Warty i Noteci. Most na Warcie kazałem wysadzić. Po sumiennym zastanowieniu zdecydowałem się na nieposłuszeństwo wobec rozkazu, który uważałem za pozbawiony sensu i którego spełnienie nie przyniosłoby żadnych korzyści, a jedynie niepotrzebne, duże ofiary w ludziach. Mimo ryzyka stanięcia przed sądem wojennym pozostałem wierny mojemu sumieniu i mojemu ponadtrzyletniemu doświadczeniu frontowemu w Rosji. W ciągu następnych czterech dni poprowadziłem moją «dywizję» etapami i w sposób uporządkowany do Kostrzyna, aby tam włączyć ją do frontu na Odrze. Niezgodne z prawdą jest więc twierdzenie gen. Bussego, jakoby «uciekł pociągiem do Kostrzyna»; nieprawdziwe są także wyciągnięte stąd wnioski. Wraz z ostatnimi jednostkami dotarłem do kostrzyńskiego Nowego Miasta 4 lutego 1945 r. Tam otrzymałem rozkaz zameldowania się w Torgau, gdzie zostałem poddany sądowi wojennemu. Na sędziego śledczego powołano dra praw barona von Dörnberga. Nie mogłem zapobiec temu, że, jak to wówczas było w zwyczaju, zostałem skazany na karę śmieci i «w ramach zawieszenia» ponownie wysłany na front wschodni, gdzie jako prosty żołnierz pierwszej linii zostałem ciężko ranny. Tym samym nie tylko spełniłem swoje żołnierskie obowiązki aż do ostatnich dni wojny, ale także potrafiłem sprzeciwić się bezsensownemu, politycznie motywowanemu rozkazowi «przetrwania», ratując tym samym życie wielu towarzyszy broni i osób cywilnych.

podpisano: Kegler, generał brygady w stanie spoczynku.



Na usilne życzenie nadawcy Redakcja postanowiła opublikować poniższe, przysłane bez zamówienia, sprawozdanie dra praw Ernsta barona von Dörnberg, byłego sędziego wojskowego.

W kwietniowym wydaniu «Wehrwissenschaftliche Rundschau» przeczytałem artykuł pt. «Ostatnia bitwa 9. Armii» autorstwa generała wojsk piechoty w stanie spoczynku T. Bussego.

W sprawozdaniu tym zostaje kilkakrotnie wspomniany generał brygady w stanie spoczynku Kegler. Ponieważ uczestniczyłem w procesie karnym przeciwko temu generałowi przed sądem wojennym w Torgau jako sędzia śledczy, pozwalam sobie zabrać głos w tej sprawie.

W niedzielę 4 lutego 1945 roku, pod wieczór, przybył do Torgau generał brygady Kegler wraz ze swoim oficerem sztabu. Prokuratura Wojskowa Rzeszy powołała mnie na sędziego śledczego. Brak było jakichkolwiek akt sprawy. Zostałem jedynie poinformowany telefonicznie, że generał brygady Kegler nie wykonał rozkazu obrony Gorzowa Wielkopolskiego. W związku z tym w niedzielę wieczorem przesłuchałem generała i jego oficera sztabowego.

Podczas przesłuchania generał Kegler przyznał, że na rozkaz z Grupy Armii Wisła (głównodowodzący Heinrich Himmler) przejął 30 stycznia dowództwo nad dywizją «Woldenberg». Dywizja ta była nowo powołaną jednostką. Składała się z żołnierzy powracających z urlopów, odłączonych od swoich jednostek macierzystych itp. Znajdowała się w odwrocie w kierunku Gorzowa. W Gorzowie generał skierował swoje oddziały do obrony okolic. We wczesnych godzinach rannych 1 lutego 1945 roku kilka jednostek rozpoczęło odwrót na skutek fałszywego alarmu. Generał stanął na drodze maszerujących oddziałów i zatrzymał je w odległości ok. 3 km na zachód od miasta. Wycofując się na odpowiednie pozycje etapowe, generał przybył z większą częścią dywizji wczesnym rankiem 4 lutego do Kostrzyna. Jego zdaniem dywizja, w której żołnierze nie znali się nawzajem, nie miała żadnej wartości bojowej. Brakowało wszystkiego. Artyleria składała się z dwóch baterii z zaprzężonymi końmi.

W czasie przesłuchania oficer sztabu dywizji Woldenberg potwierdził w pełnej rozciągłości zeznania generała Keglera. Nie stwierdziłem jakichkolwiek odchyśleń. Zauważyłem tylko, że świadek ten w rzeczywistości wcale nie był oficerem sztabu. Był to 57-letni podpułkownik rezerwy, w cywilu urzędnik pocztowy w Schwerinie w Meklemburgii. Na uwagę w tej sprawie świadek zeznał, że został skierowany ze stanowiska frontowego do dywizji «Woldenberg» na oficera sztabowego, mimo iż wskazywał, że nigdy nie odbywał służby w sztabie.

Około dwa dni później otrzymałem od Prezesa Sądu Wojennego Rzeszy rozkaz udania się do Głównego Dowództwa 9. Armii, aby podjąć dalsze działania w śledztwie. W Fürstenwalde nad Szprewą zgłosiłem się do głównodowodzącego, generała piechoty Bussego. Przede wszystkim należało przesłuchać żołnierzy dywizji «Woldenberg» w celu skonfrontowania ich zeznań z zeznaniami generała Keglera i jego oficera sztabowego. Jednak świadkowie byli otoczeni w twierdzy Kostrzyn. Okazało się, że nie ma możliwości dostania się do nich ani drogą lądową, ani powietrzną. Dzięki osobistym wysiłkom dowódcy oraz jego szefa sztabu, pułkownika G. Hölza, mogłem połączyć się z Kostrzynem przy pomocy

podziemnej sieci telefonicznej. Przesłuchałem sześciu oficerów dywizji «Woldenberg». Byli to dowódcy batalionów, jeden oficer łącznościowy, jeden adiutant i jeden oficer finansowy. Zeznania tych świadków były zgodne z zeznaniami generała Keglera i jego oficera sztabowego. W dniu tego przesłuchania – był to prawdopodobnie 9 lutego 1945 roku – Nowe Miasto w Kostrzynie, jak zapewniali mnie świadkowie, wciąż było jeszcze w rękach niemieckich.

Dzięki daleko idącej pomocy dowódcy i szefa sztabu Dowództwa Armii udało mi się wykonać dalsze czynności śledcze. W sztabie Dowództwa potwierdzono mi, że dywizja «Woldenberg» rzeczywiście dysponowała tylko dwoma bateriami konnymi, nie miała ani czołgów, ani dział przeciwlotniczych. Natomiast trzeci oficer sztabu poinformował mnie, że ze strony Rosjan do ataku na Landsberg oprócz jednostek piechoty skierowano gwardyjski korpus pancerny w sile szacowanej na 500 czołgów.

Opisałem sytuację generałowi Busse. Odpowiedział, że z punktu widzenia wojskowego dywizja «Woldenberg» była zwykłą zbieraniną. Nie chciałby także być na miejscu generała Keglera. Śledztwo zostało wszczęte na rozkaz Heinricha Himmlera. Podobnie wypowiedział się pułkownik Hölz. Podkreślił, że to prawdziwy żołnierski pech zostać dowódcą takiej pośpiesznie skleconej dywizji.

Śledztwo nie wykazało, aby jakakolwiek kolumna uciekinierów znajdująca się na północ od Warty wpadła w ręce Rosjan w wyniku działań podjętych przez generała Keglera. Z całą pewnością, gdyby coś podobnego miało miejsce, oficerowie dowództwa 9. Armii powiedzieliby mi o tym.

Rzeczywiście miałem na co dzień okazję przekonać się, że głównym motorem śledztwa przeciwko generałowi Keglerowi był Himmler. Dzień w dzień dopytywał się o stan śledztwa, czy to każąc dzwonić oficerowi śledczemu SS, czy to poprzez dalekopis.

Jeszcze przed rozprawą główną udało się pozyskać z Urzędu Kadr Wojskowych dokumenty osobowe generała Keglera i ostatnią ocenę jego służby. Z dokumentów tych wynikało, że generał brygady Kegler sprawdził się jako dowódca pułku, walcząc od czerwca 1941 r. do października 1944 r. na froncie wschodnim. Następnie w zastępstwie dowodził dywizją na froncie zachodnim. W ostatniej ocenie służby z grudnia 1941 roku został bez zastrzeżeń zarekomendowany na dowódcę dywizji i przedstawiony do awansu. Awans nastąpił w grudniu 1944 r. W uzupełnieniu chciałbym jeszcze zauważyć, że generał brygady Kegler we wrześniu 1942 r. był dowódcą pułku 12. Dywizji Piechoty w czasie kotła w Demiańsku, kiedy i ja tam przebywałem”.

dr baron von Dörnberg“.

I tak oto wydawało się, że udało się prawidłowo ułożyć malutki kamyczek w mozaice wielkich wydarzeń 1945 roku. Jednak po 50 latach pojawiło się nieco odmienne spojrzenie na tamte wydarzenia, a to za sprawą dwóch relacji Rudolfa Schrötera i Horsta Wewetzera. Zaznaczyć trzeba, że Rudolf Schröter zapoznał się z obydwoma powyższymi publikacjami dopiero tym, jak opisał swoje przeżycia. Z relacji tych, a także z innych dokumentów i publikacji wyłania się obraz, który wymaga dodatkowych uwag gwoli historycznej prawdy:

1. Stanowisko dowodzenia dywizji „Woldenberg” nie mogło się raczej 30 stycznia 1945 r. znajdować na wschód od Strzelec Krajeńskich. Już wieczorem 29 stycznia sowieckie oddziały zajęły Strzelce niemal bez walki. Potem zaczęły się typowe dla zachowania Armii Czerwonej w Niemczech incydenty<sup>1</sup>.

Relacja sowieckiego generała Bokowa, że awangarda 5 Armii Uderzeniowej próbowała zdobyć Strzelce Krajeńskie wieczorem 28 stycznia, wpadła tam w zasadzkę i po wielogodzinnej walce wydostała się z niej w kierunku zachodnim, a więc do Gorzowa, zaś miasto zostało zajęte dopiero dzień później przez oddziały piechoty, jest zgodna z prawdą tylko co do terminu – 29 stycznia lecz niezgodna z nią co do faktów. Rozprzestrzenia te kłamstwa w celu zatuszowania sowieckich zbrodni wojennych<sup>2</sup>.

Również Polacy jako dzień wojskowego zajęcia Strzelec podają 29 stycznia<sup>3</sup>.

W relacji Wewotzera (w książce, z której pochodzi niniejszy fragment) również czytamy, że w ciągu 29 stycznia niewielki niemiecki oddział zajął niemal opustoszałe Strzelce i został w mieście aż do momentu, gdy pod wieczór wjechali do niego Rosjanie i je zajęli.

Z dwóch relacji uchodźców wynika, że oddziały Armii Czerwonej już 29 stycznia zajmowały obszar na wschód od Barlinka, i że na północ od Strzelec trafiały na kolumny uciekających<sup>4</sup>.

Kolejny sprawozdawca podaje, że 30 stycznia zaraz po północy spotkał w Gorzowie dwóch niemieckich żołnierzy, którzy oświadczyli, że zostali ranni w Strzelcach w walce z wrogimi czołgami i że miasto płonie<sup>5</sup>.

Tym niemniej pojedyncze niemieckie oddziały znajdowały się jeszcze ok. 20 km na wschód od Strzelec, w okolicach Drezdenka. I tak na przykład przybyły wieczorem 29 stycznia z Meklemburgii batalion volkssturmu trafił ponoć rankiem 30 stycznia na Rosjan i został unicestwiony<sup>6</sup>.

2. Sztab dywizji „Woldenberg” był zapewne przed przybyciem generała Keglera, być może w związku ze stratami w czasie walk w okolicach Dobięgniewa i Strzelec Krajeńskich, obsadzony oficerami, którzy albo nie chcieli, albo nie byli w stanie realizować swoich zadań.

Jak mogło do tego dojść, że na przykład jednostka alarmowa Schrötera znalazła się na Reichsstraße 1 na wschód od Gorzowa zupełnie bez kontaktu z innymi jednostkami? To samo dotyczy jednostek z jej lewej flanki.

Jak mogło dojść do takiej sytuacji, że sztab nie wiedział, że na najważniejszym odcinku obronnym dywizji znajdowała się albo jednostka Schrötera samotnie, albo

1 Zob. Helmut Lindenblatt, *Pommern 1945*, Leer 1993, s. 94-96.

2 Zob. Fiodor Jefimowicz Bokow, *Frühjahr des Sieges und der Befreiung*, Berlin (Ost) 1979, s. 83-84.

3 Zob. Andrzej Toczewski, *Kostrzyn 1945*, Warszawa 1988, s. 31; Neuer Tag z 12 III 1975, Frankfurt nad Odrą, kalendarz zwycięstwa, który opierał się na artykule w formie dziennika opublikowanym w „Gazecie Zielonogórskiej”.

4 Zob. Federalne Ministerstwo ds. Wypędzonych Flüchtlinge und Kriegsbeschädigte. Die Vertreibung der deutschen Bevölkerung aus den Gebieten westlich der Oder-Neiße. Augsburg 1993. Tom 1. relacje nr 48 i 49.

5 Zob. tamże, tom 1, relacja nr 102.

6 Zob. Klaus Mammach, *Der Volkssturm*, Berlin (Ost) 1981, s. 16, ze wskazaniem na relację z Ostsee-Zeitung, nr 96, 11 IV 1957.

wzmocniona przez 2 „królewskie tygrysy”, 2 „hetzery” i działo przeciwlotnicze? Bo żaden oficer sztabowy nie raczył przybyć na miejsce i to sprawdzić! Jeśli zaś sztab wiedział o „tygrysach”, to powinien był się zainteresować ich ubezpieczeniem wojskami piechoty! Dowódca jednego lub więcej „tygrysów” musiał liczyć się z drakońskimi karami, gdyby pozwolił lekkomyślnie wpaść jednemu z nich w ręce wroga. Dlatego tak ważna była ochrona ze strony piechoty. Wynikało to z instynktu samozachowawczego, poczucia odpowiedzialności oraz grożących kar. Jeśli jednak sztab wiedział, że w pobliżu frontu znajdują się ciężkie czołgi, to musiał też wiedzieć, że gdzieś przed nimi jest też jednostka piechoty. Dlaczego jednak zachowywał się tak, jakby nie istniała? Odpowiedzialny za to oficer w sztabie okazał się człowiekiem bez sumienia!

3. Nie jest możliwe, żeby dywizja „Woldenberg” zajmowała pozycje obronne wokół Gorzowa jeszcze w pierwszych godzinach 1 lutego, aż do momentu gdy „obrona ta stała się niemożliwa w związku z pomyłkowym i przedwczesnym odwrotem niektórych jednostek”.

Sowiecki generał Bokow datuje nieudany atak swej jednostki taktycznej 5. Armii Uderzeniowej na Gorzów na wieczór 30 stycznia, a zajęcie miasta przez postępujące za nim oddziały piechoty – na 31 I 1945 r.<sup>7</sup>

Polskie źródła datowały początkowo zdobycie Gorzowa przez Armię Czerwoną na 31 stycznia 1945 r. Potem zmieniły tę datę na 30 stycznia<sup>8</sup>.

7 Zob. Bokow, dz. cyt., s. 84-85.

8 Zob. Toczewski, dz. cyt., s. 31 i 38. Neuer Tag, dz. cyt. Kalender des Sieges. Czytamy tu: *30 stycznia 1945 roku... Walki o Gorzów trwały do rana. 31 stycznia 1945 roku Gorzów jest wolny!* „Województwa gorzowskie, leszczyńskie, zielonogórskie” mapa krajoznawczo-samochodowa 1:500.000, Warszawa 1976., podaje w tekście bocznym dla miasta *Gorzów Wielkopolski: Miasto zostało wyzwolone 31 I 1946 r.* Zob. Hans Beske, Ernst Handke sen, *Landsberg an der Warthe 1257-1945-1976*, Bielefeld 1976. s. 184 i 167. Świadek wydarzeń Otto Kaplick donosi o batalionie volkssturmu, który 30 stycznia 1945 r. dotarł około godziny 22 na Zawarcie, do mostu nad kanałem w czasie odwrotu z miejscowości Borek. W czasie przemaszku przez most pierwsza kompania została ostrzelana z niemieckiego karabinu maszynowego i pomyłka ta kosztowała ją 17 zabitych! Świadek zdarzeń Karl Porath podaje, że opuścił Gorzów autobusem około godziny 23.00, w tym samym czasie, gdy Rosjanie wchodzili do miasta od strony wschodniej, nie natrafiając na opór. Dariusz A. Rymar, w swej pracy doktorskiej (znanej autorowi niniejszej książki jedynie z fragmentów) opiera swe datowanie zdobycia Gorzowa przez Armię Czerwoną na relacjach niemieckiego majora Naumanna i innych. Jeśli mamy tu do czynienia z literówką i chodzi o Waltera Neumanna, to autor niniejszej książki zna jego relację, którą cytują Beske, Handke i Ernstsens, dz. cyt. Jeśli jednak porównać tę relację z relacją Rudolfa Schrötera i przypisem 2 w powyższej „Sprawie generała Keglera”, to okazuje się, że relacja majora Neumanna budzi rozliczne wątpliwości! Czy jednak nie mogło być tak, że wojskowe zajęcia Gorzowa zaczęło się wieczorem 30, a skończyło ostatecznie 31 stycznia? Autor niniejszej książki nie czuje się upoważniony, by odpowiedzieć na to pytanie. Do pełnej rekonstrukcji zdarzeń brakuje mu bowiem wielu informacji z ostatnich dni stycznia 1945 r. Dotyczy to zarówno danych o niemieckich obrońcach miasta i ich jednostkach oraz pochodzeniu (okres – określenie – siła – ustawienie), jak i o wkroczeniu Armii Czerwonej do Gorzowa (czas – określenie – siła – kierunek, z którego przyszło natarcie). Ponadto dalsze wypowiedzi świadków także nie są wolne od sprzeczności (F. Kohlase). Zdaniem niżej podpisanego rzeczywiście zajęcie Gorzowa przez wojska radzieckie zaczęło się 30 stycznia wieczorem, a zakończyło w dniu następnym. Datę 30 stycznia jako dzień zajęcia miasta przez wojska radzieckie doskonale pamiętają dawni niemieccy mieszkańcy miasta i znalazło to odbicie w ich wspomnieniach (D. A. Rymar).

31 stycznia w Grupie Armii „Wisła” zarejestrowano notatkę, w której czytamy m. in.:

„Należy się spodziewać, że w Gorzowie jest około 15 czołgów i 2 batalionów [Rosjan]. Nasze siły w Wieprzycach, jeszcze pod dowództwem generała Keglera. Wniosek o zastępstwo dla niego złożony w dowództwie. Dysponuje 400 ludźmi, 4 czołgami i jednym działem 8.8”<sup>9</sup>.

Już 31 stycznia Sztab Generalny Armii zanotował ataki przeciwnika na Witnicę i Kostrzyn już po zajęciu Gorzowa<sup>10</sup>.

4. To niemożliwe, aby generał brygady Kegler dotarł do Nowego Miasta w Kostrzynie jako ostatni ze swojej dywizji 4 lutego rano. Nie zgadza się to ze sprawozdaniem Schrötera (w niniejszej książce).

Ponadto 4 lutego nie można już było wyjechać z Kostrzyna Reichsstraße 1 w kierunku zachodnim. Przed wieczorem 3 lutego 8 Armia Gwardii przerwała ten szlak<sup>11</sup>.

5. Zwraca uwagę fakt, że spośród przesłuchanych przez sędziego śledczego telefonicznie świadków brakuje jednego: porucznika Schrötera.

6. Po północnej stronie Warty w kierunku Odry posuwał się nie tylko sowiecki korpus czołgów, lecz także cała 2 Armia Pancerna Gwardii oraz 5 Armia Uderzeniowa, choć mocno poszatkowana<sup>12</sup>.

7. Nie jest prawdą, jakoby na północnym brzegu dolnej Warty Rosjanom nie wpadły w ręce żadne kolumny uchodźców. Tym niemniej prawdą jest, że choć tak się stało, nie można winy za te wydarzenia przypisać generałowi Keglerowi. Na przykład fakt, że tak wielu gorzowskich cywili znalazło się pod władzą Armii Czerwonej, nie wynikał z tego, że miasto nie było bronione, lecz raczej z niewłaściwej oceny sytuacji i w związku z tym z niewydania w odpowiednim czasie pozwolenia na ewakuację przez odpowiedzialnych za to przywódców politycznych i wojskowych, przede wszystkim Heinricha Himmlera, Martina Bormanna, feldmarszałka Keitela i gauleitera Brandenburgii, Stürza.

8. Dywizja „Woldenberg” została wystawiona o wiele za późno. To samo stało się z dywizjami taktycznymi nr 433 i 463, które zostały wystawione do walki na wzgórzach torzymskich i tam rozbite. Winą należy tu obarczyć nie tyle brak personelu czy wyposażenia – choć od końca 1944 roku były one faktem – ile zbyt późne i opieszale działania Głównego Dowództwa Armii oraz jego Sztabu Generalnego.

9 Bundesarchiv-Militärisches Zwischenarchiv Potsdam. WF-03/5082 Blatt 786.

10 Kurt Mehner, *Die Geheimen Tagesberichte der deutschen Wehrmachtsführung im Zweiten Weltkrieg 1939-1945*, tom 12, Osnabrück 1984, s. 101.

11 Zob. Neuer Tag, Frankfurt (Oder), z 13 II 1970, z 5 II 1975, Vor 25 Jahren, i z 5 II 1975, *Kalenderblätter der Befreiung*, oraz relacja Rudolfa Dawidowskiego, opublikowana w książce, z której pochodzi niniejszy fragment.

12 Zob. Bokow, dz. cyt., s. 82-89; Wenjamin Borissowicz Mironow, *Die stählerne Garde*, Berlin (Ost) 1986, s. 48-108.

9. W związku z tym, że w styczniu 1945 r., szczególnie w jego drugiej połowie, miało krótkotrwałe miejsce – wcześniej nie do pomyślenia – załamanie jakości niemieckiego przywództwa – i to zarówno politycznego, wojskowego, jak i administracyjnego – wspomniane fakty pozwalają wysnuć następujące wnioski:

Powyższe fakty potwierdzają wersję Schrötera.

Stwierdzenia generała Keglera oraz jego szefa sztabu odbiegające od tej relacji były albo pomyłkami, albo próbą obrony swojej pozycji. Fakt, że porucznik Schröter nie został przesłuchany jako świadek, potwierdza to przypuszczenie<sup>13</sup>.

W ostatnich miesiącach wojny, zarówno Hitler, jak i przede wszystkim Himmler, kładli wielki nacisk na radykalną dyscyplinę. Obiecywano sobie, że liczne wyroki śmierci będą miały działanie odstrasżające i prewencyjne. Prawo i sprawiedliwość zeszły na dalszy plan. Zrozumiałe są więc próby przedstawienia się w lepszym świetle przed sądem wojskowym, w szczególności w sytuacji, gdy jest się przekonany o słuszności swych działań oraz o tym, że otrzymane rozkazy były nierealistyczne.

10. Ponieważ generał Kegler wiedział, co czeka go za niewykonanie rozkazu obrony Witnicy, należy wyrazić pełen szacunek dla jego konsekwentnej postawy. Sprawozdanie Schrötera potwierdza to<sup>14</sup>.

---

13 Zob. *Das Todesurteil gegen Generalmajor Gerhard Kegler*, w niniejszej książce. Fritz Kohlase, *Das Feldurteil vom 12 II 1945 gegen Generalmajor Gerhard Kegler*, w książce z której pochodzi przytoczony fragment (oraz NRHA 2005 nr 2005, s. 155-172).

14 Zob. także relację Alexandra Klemma, w książce z której pochodzi niniejszy fragment.



Horst Wewetzer (1992)

## Od Krzyża do Kostrzyna

28 stycznia 1945 r. były moje urodziny, zajmowaliśmy pozycję przy północnym wyjściu z Krzyża<sup>1</sup>. Przydzielono nas do wsparcia artyleryjskiego batalionu piechoty. Kiedy na komendę strzelania podeszliśmy do dział, było pewnie gdzieś około 6.00 rano, wartownik działą poinformował mnie, że piechota już się wycofała. Wydawało mi się to nieprawdopodobne, ponieważ nie zauważyliśmy jeszcze żadnych ruchów wroga. Stwierdziłem, że widział może łączników, żołnierzy zaopatrzenia i rannych. Wartownik upierał się jednak przy swojej wersji i – jak się okazało – miał rację.

Otworzyliśmy więc ogień mimo braku ubezpieczenia wojsk piechoty, o których odwołaniu nie zostaliśmy poinformowani. Rosjanie oczywiście odpowiedzieli ogniem i mieliśmy jednego rannego.

Kiedy zza domów równoległej ulicy ruszyły na nas czołgi, nie pozostało nam nic innego, jak pospieszny odwrót. **Uciekliśmy Rosjanom, przekroczyliśmy Drawę po nietkniętym moście i doszliśmy do Drawin.** Miejscowość składała się z niewielu domów<sup>2</sup>.

Nasze pojazdy stały na ulicy. Żołnierze szukali w domach czegoś do jedzenia. Ludność cywilna uciekła już jednak, zabierając zapasy.

Nasz dowódca wyjechał samochodem, żeby ponownie nawiązać łączność z zagubionym batalionem piechoty. Wówczas znów dopadły nas wrogie czołgi – było może ok. 10 rano. Rosjanie chyba przestraszyli się tak samo jak my, bo nie zaczęli strzelać od razu. Wycofali się najpierw, żeby otworzyć ogień z nieco mniej odkrytego miejsca.

Nasz kierowca i część żołnierzy wskoczyli na pojazdy i ukryli się w oddalonym o ok. 200 m lesie. Pozostali żołnierze, ci, którzy szukali pożywienia po domach, pobiegli przez pustą, pokrytą śniegiem równinę, stanowiąc doskonały cel, także w kierunku ściany lasu, gdzie zresztą znajdowało się rozbudowane i zajęte przez nasze oddziały stanowisko ogniowe.

Wśród naszych pojazdów znajdował się także samochód do przewozu mebli. Jego kierowca nie dotarł na czas do kabiny. Czołgi zestrzeliły nadwozie, byli zabici i ranni, których jednak można było uratować dopiero po wielu godzinach, kiedy czołgi już się wycofały.

1 Urzędowa nazwa Krzyża brzmiała Lukatz-Kreuz.

2 Na temat losu mostów na Drawie były różne relacje: Fjodor Jefimowitsch Bokow, *Frühjahr des Sieges und der Befreiung*, Berlin (Ost) 1979, s. 83-84 pisał, że mosty nad dolną Drawą zostały wysadzone przez Niemców. Helmut Lindenblatt, *Pommern 1945*, Leer 1984, s. 71, 72 i 92 doprecyzowali następujące fakty: we wczesnych godzinach rannych 28 stycznia rosyjskie czołgi niespodziewanym atakiem zdobyły most drogowy w miejscowości Hochzeit. Wsadzenie mostu, dokonane z opóźnieniem przez niemieckich saperów, była niewystarczająca i spowodowało tylko niewielkie szkody, które nie ograniczyły funkcjonalności mostu. Przed południem 28 stycznia niemieccy saperzy podjęli próbę zerwania mostów koło Drawin. Wsadzenie mostu drogowego powiodło się, mostu kolejowego – już nie, został tylko poważnie uszkodzony.

Zebrałiśmy się w pewnej leśniczówce, znajdującej się tuż za pierwszą linią walki. Tam zczekaliśmy do wieczora. W ciemności zebrało się kilku oficerów oddziału, który utrzymywał pozycję w lesie, rozmawiali cicho, nie zwracając na nas uwagi. Kto znał codzienne zwyczaje w wermachcie, musiał się dziwić takiemu postępowaniu. I tak dowiedzieliśmy się niejako przy okazji, że jest rozkaz wycofania się w kierunku Dobięgniewa. Przeciwnik przedostał się już podobno na północ od naszej pozycji. Musiało to być jednak bardzo daleko, ponieważ nie słyszeliśmy odgłosów walki.

Piechota zebrała się około 22.00 i rozpoczęła odwrót.

A my mieliśmy kłopot! Nasz dowódca wciąż nie powrócił z poszukiwań naszego batalionu Schulza. Można było się spodziewać, że już nie wróci. Mogli zatrzymać go Rosjanie, żandarmeria wojskowa albo jakiś bardziej energiczny dowódca. Tymczasem ściągnęliśmy już nasz samochód meblowy, który został między liniami i wciąż miał włączony silnik (stał na jałowym biegu). Miał wyciek z systemu chłodzenia i trzeba było go prowizorycznie naprawić. Ponieważ pompa wodna w leśniczówce zamarzła, stopiliśmy śnieg na piecu.

Przed nami Rosjanie, nasze oddziały zniknęły, my w środku lasu, bez znajomości miejsca i okolic. Poza tym załoga naszego drugiego działka rankiem nie wytrzymała i pojechała dalej: dowódca, cała drużyna i jeden pojazd; od tego czasu nie spotkaliśmy ich. Około północy pojawił się nasz dowódca. Postanowiliśmy, że podążymy tą samą drogą, co piechota. Wkrótce straciliśmy orientację w ciemnym lesie, zwłaszcza że piechota maszerowała przesiekami i drogami leśnymi. Po pełnej przygód całonocnej jeździe samochodem meblowym i pozostałymi „pojazdami bojowymi” przez przesieki i leśne drogi dotarliśmy o świcie wreszcie do szosy, na której znaleźliśmy kamień milowy wskazujący w jedną stronę Dobięgniew, a w drugą – Drezdenko. Właściwie powinniśmy byli skierować się na Dobięgniew. Jednak stamtąd docierał do nas w porannej ciszy odgłos strzelających czołgów. Oczywiście nie miałyby sensu, żebyśmy, nie znając miejsca ani sytuacji, rzucili się na atakujące czołgi. Dlatego zdecydowaliśmy się jechać w kierunku Drezdenka, chociaż i to miasto mogło już być w rękach Rosjan, bo z opuszczonego przez nas Krzyża było tam już bardzo niedaleko. Na drodze do Drezdenka i w samym mieście panowała grobowa cisza, miasto sprawiało wrażenie wymarłego. Zobaczyliśmy tylko kilku cywili. Byli to najwyraźniej robotnicy przymusowi czekający na wkroczenie Rosjan<sup>3</sup>.

Pojechaliśmy dalej do Strzelce Krajeńskich, w nadziei że tam trafimy na jakieś oddziały. Ludność cywilna zdążyła już całkowicie opuścić miasto. Ani śladu wermachtu. W Strzelcach Krajeńskich zostaliśmy cały dzień. Nasi mechanicy znaleźli jakiś warsztat, bo z samochodem coś było nie tak. Jeden z żołnierzy próbował upiec chleb w opuszczonej piekarni.

Musielśmy przecież coś zjeść. Nasz dowódca znów wyruszył na bezskuteczne poszukiwania. Wrócił wieczorem. Potem Rosjanie wkraczali do miasta z jednej strony w tym samym czasie, w którym my opuszczaliśmy je z drugiej. O ile sobie dobrze przypominam, czołgi wjechały w końcu do miasta. W przeciwnym razie nie zauważylibyśmy ich na czas i pewnie by nas złapały<sup>4</sup>.

3 Jednostka niemieckich artylerzystów przejechała jedynie przez leżące na północ od Noteci i linii kolejowej Ostbahn oraz niedaleko Drezdenka miasteczko o nazwie Nowe Drezdenko.

4 Zob. Bokow, dz. cyt., s. 79-80 i 84. Jego wersja, jakoby awangarda 5 armii uderzeniowej – składająca się pierwotnie z 90 czołgów, 12 dział samobieżnych, 42 dział i moździerzy, 12 dział raketowych,

Nocą pojechaliśmy do Gorzowa. Cały czas mieliśmy poczucie, że wrogie czołgi w każdej chwili mogą nas dogonić. W Gorzowie pierwszy raz znów trafiliśmy na wermacht. Pojechaliśmy do jakichś koszar. Na placu przed koszarami stały pojazdy zaprzężone w konie – bardzo pięknie, jeden za drugim – zwierzęta właśnie karmiono. Panował spokój. Nic nie wskazywało na to, że rosyjska szpica jest już tak blisko.

W koszarach odnaleźliśmy sztab, zameldowaliśmy się i poprosiliśmy o przydział. Jeden z adiutantów dopytywał się szczegółowo o to, skąd i dokąd idziemy. Przede wszystkim: skąd? Kiedy nasz dowódca odparł, że należeliśmy do batalionu alarmowego Schulza, na twarzy oficera odmalowało się lekkie niedowierzanie. Tak oto można zupełnie bez winy zostać posądzonym o kłamstwo. Zniknęła, a my musieliśmy długo czekać. Mieliśmy wrażenie, że nas tu nie chcą. I wciąż mieliśmy poczucie, jakby w każdej chwili mogła zacząć się strzelanina. Było to dziwne.

Wkrótce pojawił się znowu z rozkazem: „Proszę udać się na stanowiska za swoją jednostką!” Było to oczywiście równie „niewojskowe”, co gdyby powiedzieć „w kierunku na Dobiegniew”. Rozkaz powinien brzmieć: „Proszę jechać do ... zameldować się na stanowisku dowodzenia i uzyskać przydział do wsparcia jednostki.” Byłem coraz bardziej pewien, że chciano się nas po prostu pozbyć, wysłano nas gdzieś przed siebie; jeśli to nie pomogło, to przynajmniej już by nie zaszkodziło. Nie było mowy o jakiejś organizacji obrony.

My jednak mieliśmy już za sobą nieprzyjemnie doświadczenie z Drawin, gdzie także zostaliśmy pozostawieni bez żadnego wsparcia, chodziliśmy bez celu po okolicy i sami musieliśmy zadbać o to, żeby nie położyć głowy. Zamiast więc jechać do... pojechaliśmy w kierunku Kostrzyna, zresztą nie my jedni. Droga była pełna pojazdów. Wszystko to działo się 30 stycznia 1945 roku.

**Dotarliśmy do Kostrzyna 31 stycznia rano.** Tutaj od razu miało się wrażenie, że coś się dzieje. Wartownik skierował nas do koszar im. Stülpnagla. Stamtąd przekazano nas dalej, do oficera sztabu ds. artylerii kapitana Langenhahna, ten zaś wysłał nas do kompanii twierdzy. Tę odnaleźliśmy w Nowym Mieście, na terenie lazaretu rezerwowego.

Kiedy tam dotarliśmy, ostatnie siostry, sanitariusze i reszta personelu opuszczali właśnie szpital. Ulice w mieście były pełne ludzi i pojazdów. Nasz dowódca szukał jeszcze jakiegoś stanowiska obserwacyjnego. Podłączyliśmy nasze kable telefoniczne i ustawiliśmy działą. W tym momencie do Kostrzyna wtoczyły się pierwsze czołgi wroga. Miałem wrażenie, jakbyśmy ścigali się z rosyjską szpicą pancerną<sup>5</sup>.

W tym czasie nasze stanowisko obserwacyjne znajdowało się na dachu opuszczonego szpitala. Stąd kierowaliśmy nie tylko ogniem naszych moździerzy, ale także

---

dział przeciwlotniczych, 300 pojazdów, pułku piechoty i kompanii saperów wpadła 28 stycznia w ciemnościach w pułapkę w Strzelcach Krajeńskich, a następnie została otoczona i po czterogodzinnych walkach wyrwała się w kierunku Gorzowa, nie odpowiada faktem.

5 Uwaga do słów podoficera Wewetzera z pierwszego dnia w kostrzyńskim Nowym Mieście: *Miałem wrażenie, jakbyśmy ścigali się z rosyjską szpicą pancerną.* Jednostka Wewetzera skierowała się bezpośrednio do Kostrzyna przez Gorzów po szosie Reichsstraße 1. Natomiast rosyjskie oddziały pancerne otoczyły Gorzów od północy, przebiły się przez lasy i obszary wokół Wysokiej i Dębna Lubuskiego aż do Odry, gdzie 31 stycznia rano wspierały tworzenie przyczółka w Kienitz, a po południu, w celu jego umocnienia, zaatakowały Kostrzyn w kierunku południowym, w sile około 15-20 wozów.

dwóch lekkich dział piechoty należących właściwie do innej jednostki, stojącej jednak niedaleko nas.

Mój dowódca tymczasem zginął, zostałem na stanowisku obserwacyjnym sam. To nie było nawet takie najgorsze. Jednak w sztabie artylerii wymyślono sobie, żeby ciężkie działa z pierwszej linii „wystrzelały” całkowicie nieprzebytą blokadę na całym obszarze (bez względu na mapę). Opierało się to na iluzji wymyślonej przy biurku. Trudno sobie wyobrazić, żeby dwa lekkie działa piechoty i jeden ciężki moździerz były w stanie strzelać ogniem zaporowym. Nie było to możliwe choćby już z powodu szybkości ognia, musielibyśmy mieć znacznie więcej dział. Poza tym mieliśmy za zadanie stworzyć zaporę ogniową nie w jednym, lecz w kilku miejscach. Absurdalność tego rozkazu była dla mnie jasna i jako nic nieznaczący podoficer czułem, że obciążono mnie zbyt wielką odpowiedzialnością.

Stanowisko obserwacyjne powinien był właściwie przejąć podporucznik Pfeiffer, mój przełożony. On jednak przebywał na stanowisku ogniowym. Poprosiłem go zatem, żeby przynajmniej pojawił się na stanowisku obserwacyjnym i zobaczył, jakim zadaniem został obciążony jego podoficer. Rzeczywiście przyszedł. Był 7 marca 1945 roku. Weszliśmy do naszego punktu obserwacyjnego w wieży. Kiedy jednak podporucznik zobaczył tam wielką dziurę w dachu po rosyjskim pocisku, krew na ziemi i rozerwany mapnik obserwatora artyleryjskiego, który tutaj zginął, rzucił przelotne spojrzenie na okolicę, a potem znowu zeszliśmy do piwnicy, gdzie zakwaterowałem się z moimi łącznościowcami. Tutaj kazałem sobie przygotować niewielkie śniadanie, zgodnie z zasadą: byle grzecznie!

Ledwie zjedliśmy ostatni kęs, kiedy z wielkim hukiem spadł na nas rosyjski ogień. Było to prawdziwe bombardowanie – może takie jak we Flandrii w czasie I wojny. Nie wiem, jak długo to trwało. Kto w takiej sytuacji patrzy na zegarek? Wszyscy wiedzieliśmy, że „Iwan” atakuje. Było jednak także oczywiste, że z pierwszej linii nikt nie przeżyje tego bombardowania. Z okien piwnicy widzieliśmy, jak na ziemię spadają wielkie bryły odrywające się od wyższych pięter lazaretu. Domy lekarzy i osiedla, przez które przebiegała pierwsza linia walki, zostały zrównane z ziemią. Stałem przy wyjściu z piwnicy i czekałem, aż ogień zostanie przesunięty do przodu. Strzały jednak ucichły i usłyszałem nadjeżdżające czołgi i ogień pistoletów maszynowych. Trwał więc atak.

Kiedy odgłosy wystrzałów z czołgów i broni ręcznej było już słychać mniej więcej na wysokości szpitala, podporucznik, jego sierżant i ja wybiegliśmy z piwnicy, za budynek. Łącznościowcy nie odważyli się na to, podobnie jak większość żołnierzy piechoty, którzy przebywali w piwnicy. Pierwsze uderzenie od razu zerwało naszą łączność.

Jak potem słyszałem, jeszcze kilku udało się w nocy wydostać z budynku. Jednak kto został w środku, ten zginął.

W czasie tego pierwszego dnia ataku Rosjanie zajęli, wedle mojej oceny, połowę Nowego Miasta. W naszej części Nowego Miasta, w której znajdowało się także nasze stanowisko ogniowe, trudno mówić o jakimkolwiek dowodzeniu. Każdy był zdany na siebie<sup>6</sup>.

I znowu nie mieliśmy żadnego wsparcia piechoty dla naszych dział. I tak w którymś momencie 8 marca pojawili się nagle wokół nich Rosjanie. Obsłudze, która przebywała akurat w pobliskiej piwnicy, udało się na tyle długo trzymać ich z daleka dzięki ręcznym granatom, że mogła potem uciec, kryjąc się w chaosie ruin. Ścigani przez ogień artyleryjski i rosyjskie myśliwce przedostaliśmy się przez góry gruzów i całkowicie zniszczone ulice do mostu drogowego nad Wartą.

Był pod ostrzałem samolotów myśliwskich. Były to wciąż powracające trzy maszyny. Gdy leciały w stronę mostu, otwierały ogień. Kiedy tylko jeden z samolotów zaczął strzelać, ruszyłem biegiem tuż za pociskami, jak tylko mogłem najszybciej. Za chwilę pociski następnego samolotu zaczęły rozpryskiwać się na bruku tuż za mną, w ostatniej chwili udało mi się ukryć w jakimś domu. Tak oto znalazłem się na Starym Mieście.

28 marca 1945 r. wojska rosyjskie wdarły się do Starego Miasta od strony Chyryzna. Samo Stare Miasto było już wtedy jednym wielkim gruzowiskiem. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Rosjanie dwa do trzech razy dziennie atakowali dwusilnikowymi bombowcami nurkującymi. My nie mieliśmy już prawie broni. To znaczy nie było żadnej obrony przeciwlotniczej, żadnej artylerii ani obrony pancerniej. Tego ostatniego dnia na Starym Mieście zdolne do prowadzenia ognia były jeszcze: 1 ciężkie działo piechoty, kaliber 15 cm, zasób amunicji 6 granatów oraz dwa lekkie działa piechoty, kaliber 7,5 z około 30 granatami<sup>7</sup>.

Każdy z nas wiedział, że obrona Kostrzyna skończy się bardzo szybko. Ale mimo to chcieliśmy się bronić tak długo, jak to możliwe.

Nasze trzy działa stały zupełnie na północy Starego Miasta. Prowadzenie stąd ognia w kierunku starego miasta było niemożliwe, ponieważ nasze stanowisko obserwacyjne znajdowało się w lunecie Dora, na zachód od kanału przeciwpowodziowego na Odrze. Mogliśmy więc strzelać tylko na przedpolu tej lunety albo na wschodni kraniec Kietzu. Gdybyśmy zostali z naszymi działami na skraju Starego Miasta, groziło nam, że Rosjanie dopadną nas, zanim będziemy mogli dać im ostatni odpór. Dlatego podjąłem próbę uzyskania pozwolenia na przeniesienie mojego – ciężkiego – działa przez most kolejowy na zachodni brzeg Odry, aby tam zająć stanowisko mniej więcej na terenie rzeźni.

6 Wewetzer myli się, sądząc, że Rosjanie pierwszego dnia szturm, tj. 7 marca, zdołali zająć połowę Nowego Miasta. Zdobyli znacznie mniejszą część: z małymi wyjątkami cały obszar na zachód od dworca głównego i nasypu kolejowego na Berlin i Szczecin, walczyli w fabryce mączki ziemniaczanej i otoczyli od strony lądu fabrykę celulozy. Jednak ich wtargnięcie na te obszary miało fatalne skutki dla tego odcinka obrony Nowego Miasta ze względu na słabość niemieckiego dowództwa.

7 Zob. Relacja Fritza Kohlase, *Mit dem Fusilier-Bataillon 303 in Küstrin*, w książce, z której pochodzi niniejszy fragment. Grupy szturmowe Rosjan, które po południu 28 marca dotarły aż do Rynku na Starym Mieście, zostały zatrzymane krótko przed zapadnięciem zmroku przez rozpaczliwy niemiecki kontratak, który zdołał ich nawet odrzucić do tyłu. Zgodnie z danymi meteorologicznymi słońce zaszło tamtego dnia o godzinie 18.27.

Pod wieczór 28 marca – tj. ok. 18.00 – sowieccy strzelcy dotarli mniej więcej na wysokość zamku na Starym Mieście. Za zgodą podporucznika, który dowodził teraz stanowiskiem ogniowym naszych dział, udałem się do lunety Dora, na nasze stanowisko obserwacyjne, aby tam uzyskać zgodę na przeniesienie od kapitana Wüstenhagena. Kapitan oświadczył mi, że nie jest upoważniony do wydania takiego rozkazu, zgodził się jednak, bym w jego imieniu udał się z tą sprawą do sztabu artylerii twierdzy. Wróciłem na stanowisko ogniowe, poinformowałem podporucznika o sytuacji i skierowałem się do zamku, gdzie miał się znajdować sztab. Część drogi można było przebyć przez kazamaty. Tam spotkałem idącego w moją stronę kapitana Langenhana, ubranego w hełm, kurtkę maskującą i z pistoletem maszynowym, wszystko nowiusieńkie. Obok niego dwóch czy trzech żołnierzy z jego otoczenia, tak samo wypacykowanych, i zupełnie zagubiony jeńiec.

W tej niezbyt zręcznej sytuacji – kapitan Langenhahn wyglądał na bardzo zdenierwowanego – przedstawiłem mu naszą propozycję. Jego decyzja brzmiała: pan Schmitz – mój podporucznik – ma wystrzelać całą amunicję, działa wysadzić w powietrze, a potem zająć pozycję ze swoimi ludźmi na określonej ulicy Starego Miasta. Następnie pan Langenhahn zniknął. Bardzo się gdzieś spieszył.

Rozkaz był pozbawiony sensu. Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek trafić, a wysadzić dział nie mieliśmy czym. Później zorientowałem się, skąd wziął się ten pośpiech kapitana. Stało się jasne, że most na Odrze ma być wysadzony w powietrze, chciał więc jak najszybciej przekroczyć rzekę.

Wróciłem do naszego podporucznika, który nie miał żadnego doświadczenia frontowego (został przysłany z Norwegii). Zignorował on rozkaz kapitana Langenhansa i przeprowadził zmianę pozycji na własną rękę. On jednak nie czuł się upoważniony do takiej decyzji.

Poszedłem więc jeszcze raz do kapitana Wüstenhagena, aby nakłonić go do podjęcia działań samodzielnie, w interesie naszej sprawy i swoich ludzi. Nie udało mi się to jednak. Kiedy wszystko się wali, bez zmian pozostaje tylko stosunek służbowy. Rozkaz i posłuszeństwo pozostają niezmiennie, ponieważ są bytem idealnym, a nie z prochu!

Było około 21, może 22.00 – w każdym razie było już zupełnie ciemno – kiedy wracałem do mojej baterii na Starym Mieście. Byłem mniej więcej na wysokości rzeźni, gdzie stało jedno z naszych dział, uszkodzone i niezdolne do strzału, kiedy z mostu kolejowego nad Odrą zostałem wezwany do ukrycia się, ponieważ most miał zostać wysadzony. Ponieważ moja załoga została jeszcze po drugiej stronie, odpowiedziałem pytaniem, czy wszyscy żołnierze zostali ewakuowani ze Starego Miasta. Nie otrzymałem odpowiedzi, tylko ponownie usłyszałem wezwanie do ukrycia się. Schowałem się w piwnicy pobliskiej rzeźni.

Kiedy most został wysadzony, udałem się z powrotem do lunety Dora, aby powiedzieć kapitanowi, że od tej chwili nie ma już dział. Potem wróciłem do rzeźni, bo chciałem tam spędzić noc, i znalazłem tam całą moją obsługę dział, z wyjątkiem jednego żołnierza. Plutonowy Macknow już na długo przedtem, nie informując nikogo, „skombinował” z magazynu saperów duży ponton i ukrył go nad Odrą. Kiedy odcięto im drogę ucieczki przez most, poprowadził kolegów do tego pontonu, na-



pompowali go i przepłynęli na drugą stronę. Tylko bombardier Block nie przyłączył się do nich. Nie umiał pływać i bał się, że utonie, gdyby coś stało się z pontonem.

29 marca 1945 r. pod naszą kontrolą były jeszcze: teren koszar artylerii, dworzec kolejowy Kostrzyn-Stare Miasto i okolica, rzeźnia i teren w północno-zachodniej części wyspy – wszystko między Odrą i kanałem zalewowym Odry. Ponadto w naszych rękach były jeszcze luneta Dora, ulica Dammstraße od mostu nad kanałem do przedmieścia Kuhbrücken oraz samo to przedmieście.

Wróg był blisko wszystkich naszych pozycji. Mówiło się, że od południa zbliżył się do koszar artyleryjskich na odległość szturm, to jest około 50 metrów.

Tego dnia wszyscy wiedzieli, że będzie to ostatni dzień w „Twierdzy” Kostrzyn. Miałem wrażenie, że zorganizowana obrona już nie istniała. Każda jednostka, o ile w ogóle jeszcze istniała, broniła się tam, gdzie się akurat znajdowała. Każdy próbował także znaleźć jakiś kompromis między obowiązkami żołnierskimi i ratowaniem własnego życia, ponieważ – i każdy to wiedział – Ojczyzny nie można już było uratować.

Tego ostatniego dnia poszedłem do lunety Dora, ponieważ podjąłem niewzruszoną decyzję, że nie pójdę do sowieckiej niewoli; chciałem więc znaleźć się najdalej na zachód, jak to było możliwe. Po południu byłem jeszcze kilka godzin na wałach przeciwpowodziowych w służbie piechoty, bo tamtejsza piechota opuściła swoje okopy, prawdopodobnie ze względu na ciągły ostrzał artyleryjski. Było tam rzeczywiście nieprzyjemnie, ale wytrzymałiśmy do zmierzchu, a potem Rosjanie zaprzestali ognia.

Kiedy wróciłem do lunety, dowiedziałem się, że komendant twierdzy, generał SS Reinefarth prosił w kwaterze głównej führera o pozwolenie na wycofanie się z resztką żołnierzy, natrafił jednak na sprzeciw Berlina. Najwyraźniej mieli tam zamiar pozwolić nam „przejsć do historii”, jak to się wtedy patetycznie nazywało, kiedy jacyś żołnierze zostawali na straconej pozycji. Oficerowie udali się do komendanta, aby przekonać go do wycofania się nawet bez zezwolenia, ponieważ zarówno ze strategicznego, jak i taktycznego punktu widzenia było wszystko jedno, czy twierdza zostanie poddana tej nocy, czy dopiero następnego dnia<sup>8</sup>.

Wieczorem, była może 18 albo 19.00, oficerowie pojawili się z powrotem i poinformowali nas, że rozpoczniemy wycofywanie się nawet wbrew rozkazom führera, że jednak kto nie chce, nie musi się przyłączyć. Ta decyzja uwolniła mnie od konfliktu sumienia, ponieważ myślałem o oddaleniu się od jednostki na własną rękę.

8 Zob. meldunek dzienny komendanta twierdzy Kostrzyn z 29 III 1945 r.; notatka do akt Grupy Armii Wisła z 29 III 1945 r., g. 12.45. W swoim meldunku dziennym komendant twierdzy dwukrotnie podkreślał, że walka o Twierdzę Kostrzyn dobiega końca. Ostatnie zdanie meldunku brzmiało: „W związku z wysokimi stratami w ludziach i materiale (70 % oficerów i całe ciężkie uzbrojenie) walka w twierdzy dobiega końca”. Meldunek ten został przesłany do dowództwa 9 Armii oraz Grupy Armii Wisła, a potem wraz z innymi meldunkami dziennymi – do kwatery głównej führera. 29 marca o 12.45 szef sztabu 9. Armii zażądał w rozmowie telefonicznej z szefem sztabu Grupy Armii Wisła, by ten złożył wniosek o „natychmiastowe wycofanie się załogi Twierdzy Kostrzyn. „Zezwolenie musi przyjść jak najszybciej, w przeciwnym razie załoga stracona”. Taka informacja znalazła się o 12.55 u szefa Działu Operacyjnego Sił Zbrojnych. Odpowiedź brzmiała: „Decyzja führera: utrzymać twierdzę za wszelką cenę. Przeprowadzić zaopatrzenie drogą powietrzną”. Przez GAW i dowództwo 9 Armii rozkaz ten został przekazany komendantowi twierdzy – autor niniejszej książki nie wie, czy dosłownym tekstem – a nadejście rozkazu zostało potwierdzone w Kostrzynie 29 marca o 15.44.

Kto chciał wyruszać, zaczynał przygotowania. Nie wolno było zabierać niczego, co mogło spowodować hałas. Pomalowaliśmy sobie twarze na czarno, radiostacje zniszczyliśmy i wrzuciliśmy do rowu, który otaczał lunetę. Jednak nie wszyscy żołnierze obecni w lunecie chcieli iść. Kiedy oliwiłem moją broń, niektórzy położyli się spać.

Powiedziano nam, że wycofamy się w czterech grupach. Nasza, żołnierzy z lunety i jej sąsiedztwa, była najbardziej wysunięta na południe. Ponieważ Kietz od dłuższego już czasu znajdowało się w rękach sowieckich, między nami i Kietz nie miał już kto uciekać. Zbraliśmy się na wale przeciwpowodziowym, przeszliśmy po nim może dwieście, trzysta metrów w kierunku północno-zachodnim, aż dotarliśmy do miejsca, z którego mieliśmy wyruszyć<sup>9</sup>.

Wyszliśmy około północy. Przypominało to czysty atak piechoty, bez jakiegokolwiek przygotowania czy wsparcia artyleryjskiego. W ciemnościach nocy nie było rozkazów, dowództwa, pokonywania kolejnych celów. Cały pułk maszerował, najpierw w dość zbitej grupie, po prostu mniej więcej na zachód. Po około 300 metrach dotarliśmy do rowu Nork (nazwę tę poznałem dopiero później). Była w nim woda i był tak szeroki, że nie można było go przeskoczyć. Musieliśmy przejść po dnie, byliśmy mokrzy aż po pas<sup>10</sup>.

Kiedy wyszliśmy z wody, zauważył nas wróg i pierwsze strzały padły w odległości około 20 metrów przed nami. Natychmiast wszyscy się schowali i chcieli przeczekać. Powiedziałem do mojego kapitana, który był tuż obok: „Jeśli będziemy się chować już przy pierwszym wystrzale, to nigdy się stąd nie wydostaniemy!” Zadziałało to jak sygnał – przynajmniej tak mi się wydawało – bo wszyscy wyskoczyli z rowu i na ślepo, z okrzykiem „hurra!” i strzelając ruszyli w noc, prosto na rosyjską pozycję.

Przez krótki moment myślałem, że w ten sposób większość roboty już za nami i że teraz wystarczy już tylko przerwać od tyłu zewnętrzną rosyjską linię. Ponieważ po naszej stronie od lat brakowało już żołnierzy, byliśmy przyzwyczajeni, że pierwsza linia walki jest bardzo nielicznie obsadzona. Dlatego spodziewałem się, że i u Rosjan nie będzie inaczej. Myliłem się jednak grubo. Pokonaliśmy jedynie straż przednią.

Dopiero po około 200 metrach trafiliśmy naprawdę na pierwszą linię Rosjan. Oczywiście już wiedzieli, co się święci, i wystrzelili rakietę sygnalizacyjną. W ich świetle dostrzegłem naszą, wciąż jeszcze trzymającą się mniej więcej razem, grupę. Było to może 200, najwyżej 300 żołnierzy.

Sowieci otworzyli na nas ogień. Odpowiedzieliśmy, na ile mogliśmy. Tylko niektórzy z nas padli na ziemię. Było jak przy straży przedniej: ogień z karabinów i „hurra!” Już w czasie szturm na pierwszą linię zostałem ranny w prawą goleń. Była to jednak tylko powierzchowna rana, przestrzał, mogłem więc biec dalej.

I tak zdobywaliśmy tej nocy szturmem jeden rosyjski okop za drugim. Kiedy tylko przebiliśmy się do jednego, witał nas ogień z drugiego. O ile pamiętam, przeszliśmy wtedy 6 linii sowieckich okopów. Trzy były skierowane na Kostrzyn, a trzy pozostałe – na zachód.

9 Punkt wypadowy głównej grupy w nocy z 29 na 30 marca znajdował się w okolicach skrzyżowania na przedmieściach Kostrzyna o nazwie Kühbrücken, około 1000 metrów od lunety.

10 Rów Nork przebiega około 500 m na zachód od Dammstraße, na wale nadodrzańskim, koło kanału zalewowego.

Kiedy pojawiło się pierwsze, słabe światło poranka, była może 5 rano, zobaczyłem przed sobą sylwetki kilku czołgów. Nie byłem w stanie rozpoznać, czy były to czołgi niemieckie, czy sowieckie. Ale co z tego, trzeba było biec dalej. Czołgi nie strzelały zresztą. Do dziś jestem zdania, że były to czołgi niemieckie, zniszczone lub opuszczone po próbie odsieczy dla Kostrzyna 27 marca.

Zresztą za chwilę wdarliśmy się już na pierwsze niemieckie linie. Kiedy dotarliśmy do drugiej linii, znaleźliśmy tam nieco zaskoczonych żołnierzy, którzy wskazali nam drogę do punktu opatrunkowego. Znajdował się w stodole na skraju jakiejś miejscowości. Było to w miejscu tak oddalonym od linii ognia albo może tak dobrze położonym, że karetki mogły dojeżdżać aż do samych drzwi stodoły, nie obawiając się ostrzału. Zostałem przewieziony do Schlagenthin, tam zajął się mną lekarz, a potem z pobliskiego dworca Mücheberg przetransportowano mnie do lazaretu w Naumburgu nad Saalą. Mój sierżant sztabowy Macknow również ranny podczas odwrotu, leżał na łóżku obok.